

JUTRO

JOHN MARSDEN

JUTRO

kiedy zaczęła się wojna

tłumaczenie
Anna Gralak

znak *litera
nova*

Kraków 2011

Tytuł oryginału
Tomorrow, When The War Began

Text copyright © 1993 by John Marsden

Projekt okładki
Magda Kuc

Opieka redakcyjna
Julita Cisowska
Alicja Gaładzjij

Adiustacja
Julita Cisowska

Korekta
Katarzyna Onderka

Opracowanie typograficzne
Irena Jagocha
Daniel Malak

Łamanie
Irena Jagocha

Copyright © for the translation by Anna Gralak 2011

ISBN 978-83-240-1628-0

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie I, Kraków 2011
Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne S.A., ul. Pogwizdów Nowy 662, Zaczernie

1

Upłynęło zaledwie pół godziny, odkąd ktoś – chyba Robyn – powiedział, że powinniśmy to wszystko zapisać, i zaledwie dwadzieścia dziewięć minut, odkąd wybrano do tego mnie. I od tych dwudziestu dziewięciu minut wszyscy nade mną stoją i wpatrują się w pustą kartkę, wykrzykując różne pomysły i rady. Ludzie, odczepcie się! W ten sposób nigdy nic nie napiszę. Nie mam pojęcia, od czego zacząć, a w takim hałasie nie potrafię się skupić.

No, tak już lepiej. Powiedziałam im, żeby dali mi trochę spokoju, i Homer mnie poparł, więc w końcu sobie poszli i mogę normalnie myśleć.

Nie jestem pewna, czy będę w stanie to napisać. Równie dobrze mogę od razu się do tego przyznać. Wiem, dlaczego mnie wybrali – bo podobno piszę najlepiej z nas wszystkich – ale tu chodzi o coś więcej niż o samą umiejętność pisania. Mogą się pojawić pewne drobne problemy. Takie drobne problemy jak uczucia, emocje.

Ale do nich dojdziemy później. Być może. Poczekamy i zobaczymy.

Siedzę teraz nad strumykiem, na powalonym drzewie. To ładne drzewo. Nie stare i zgniłe, zżerane przez białe larwy, lecz młode drzewo o gładkim czerwonym pniu i liściach, w których widać jeszcze resztki zieleni. Trudno powiedzieć, dlaczego upadło – wygląda całkiem zdrowo – ale może wyrosło za blisko strumyka.

Dobrze mi tutaj. Rozlewisko ma zaledwie jakieś dziesięć metrów na trzy, ale jest zaskakująco głębokie – pośrodku woda sięga do pasa. Nieustannie pojawiają się małe koncentryczne kręgi, kiedy owady dotykają wody, śmigając tuż nad jej powierzchnią. Zastanawiam się, gdzie one śpią i kiedy. Zastanawiam się, czy we śnie zamykają oczy. Zastanawiam się, jak się nazywają. Zalatane, anonimowe, bezsenne owady.

Szczerze mówiąc, piszę o rozlewisku tylko po to, żeby uniknąć tego, co powinnam robić. Zupełnie jak Chris, który szuka sposobów, aby wymigać się od czegoś, czego wolałby uniknąć. Widzicie: niczego nie ukrywam. Ostrzegłam ich, że nie mam takiego zamiaru.

Mam nadzieję, że Chris nie będzie miał żalu, że wybrali mnie, a nie jego, bo Chris pisze naprawdę dobrze. Wyglądał na nieco urażonego, chyba nawet trochę mi zazdrości. Ale on nie uczestniczył w tym od samego początku, więc pewnie by sobie nie poradził.

Dobra, lepiej przestanę ściemniać i przejdę do rzeczy. Jest tylko jeden sposób, żeby to zrobić: opowiedzieć wszystko po kolei, w porządku chronologicznym. Wiem, że spisanie tych wydarzeń jest dla nas ważne. Właśnie dlatego tak bardzo się ucieszyliśmy, kiedy Robyn wpadła na ten pomysł. To bardzo, bardzo ważne. Utrwalenie tego, co zrobiliśmy – słowami, na papierze – będzie naszym sposobem na udowodnienie sobie, że coś znaczymy, że odegramy jakąś rolę. Że nasze działania coś zmieniły. Nie wiem, jak dużo, ale coś na pewno. Spisanie tego to szansa, że zostaniemy zapamiętani. A przysięgam na Boga, że to dla nas ważna sprawa. Nie chcemy skończyć jako sterta martwych białych kości, niezauważeni, nieznani i – co najgorsze – ze świadomością, że nikt się nie dowie o ryzyku, jakie podjęliśmy, ani tego nie doceni.

Myśląc o tym wszystkim, dochodzę do wniosku, że powinnam to napisać jak książkę historyczną, bardzo poważnym językiem, bardzo oficjalnym. Ale nie potrafię. Każdy ma własny styl, a mój wygląda właśnie tak. Jeśli nie przypadnie im do gustu, będą musieli znaleźć kogoś innego.

Dobra, lepiej wezmę się do roboty.

Wszystko zaczęło się od tego... Śmiesznie brzmią te słowa. Każdy ich używa, nie zastanawiając się, co właściwie znaczą. Od czego wszystko się zaczyna? W wypadku ludzi początkiem jest chwila narodzin. Albo małżeństwo rodziców. Albo jeszcze wcześniej, chwila narodzin rodziców. Albo osiedlenie się przodków w danym miejscu. Albo moment, w którym ludzie wyszli z wody, rozbryzgując błoto i muł, odrzucili płetwy i zaczęli chodzić. Ale pomijając te wszystkie zawiłości, nasza historia miała dość wyraźny początek.

Zatem wszystko zaczęło się od tego, że po świętach Bożego Narodzenia ja i Corrie nabrałyśmy ochoty, żeby spędzić kilka dni na łonie natury, w dziczy. Tak po prostu: „Hej, co powiesz na...?”. Biwakowałyśmy dość często, od dziecka, brałyśmy motory obciążone sprzętem i jechałyśmy nad rzekę. Spałyśmy pod gwiazdami, a w zimne noce rozpościerałyśmy kawałek brezentu między dwoma drzewami. Nie była to więc żadna nowość. Czasami dołączała do nas trzecia przyjaciółka, zazwyczaj Robyn albo Fi. Żadnych chłopaków. W tym wieku myślisz, że chłopaki mają tyle osobowości co wieszak na ubrania, i wcale ich nie zauważasz.

A potem dorastasz.

No więc kilka tygodni temu, choć teraz trudno mi w to uwierzyć, leżałyśmy przed telewizorem, oglądałyśmy jakiś chłam i rozmawiałyśmy o feriach.

– Od wieków nie byłyśmy nad rzeką – powiedziała Corrie. – Wybierzmy się tam.

– Dobra. Hej, zapytajmy tatę, czy pożyczy nam land-rovera.

– Dobra. Hej, zapytajmy Kevina i Homera, czy nie chcieliby się przyłączyć.

– Jasne, chłopaki! Ale rodzice nigdy nam nie pozwolą.

– A ja myślę, że pozwolą. Warto spróbować.

– Dobra. Hej, jeśli dostaniemy land-rovera, pojedźmy dalej niż zwykle. Super byłoby dotrzeć aż do Krawca i do Piekła, nie?

– Jasne, zapytajmy.

Krawiec, a właściwie Szew Krawca, to długie pasmo górskie, grań, która biegnie prosto jak strzeł od Mount Martin do Wombegonoo. Jest skalista, a miejscami bardzo wąska i stroma, ale da się po niej iść i rośnie tam trochę drzew. Widoki są fantastyczne. Można dojechać prawie na sam szczyt niedaleko Mount Martin, korzystając ze starej drogi do wyrębu, która tak bardzo zarosła, że trudno ją teraz znaleźć. Piekło leży po drugiej stronie Krawca. To wielki dół pełen głazów, drzew, jeżyn, zdziczałych psów, wombatów i krzaków. To prawdziwa dzicz i wcześniej nie znałam nikogo, kto by się tam zapuścił, chociaż sama dość często stałam na jej skraju i patrzyłam w dół. Przede wszystkim nie miałam pojęcia, jak się tam dostać. Otaczające Piekło urwiska są niesamowicie, miejscami sięgają kilkuset metrów. W dół prowadzą mniejsze urwiska zwane Szatańskimi Schodami, ale wiercie mi, jeśli to są schody, to Wielki Mur Chiński należałoby uznać za płot. Jeżeli jednak istnieje jakaś droga do Piekła, musi być gdzieś między tymi urwiskami. Zawsze chciałam spróbować się tam dostać. W okolicy krążyły historie o pustelniku z Piekła, byłym mordercy, który podobno mieszkał tam od lat. Mówiono, że zabił własną żonę i dziecko. Chciałam wierzyć w jego istnienie, ale nie było to takie łatwe. Mózg ciągle zadawał mi niezręczne pytania w stylu: „Jak to możliwe, że nie skończył na szubienicy jak wszyscy mordercy w tamtych czasach?”. Mimo to historia była ciekawa i miałam nadzieję, że okaże się prawdziwa. Może nie ta część o morderstwie, ale przynajmniej ta o pustelniku.

W każdym razie pomyślałam, żeby wyruszyć na biwak, narodził się właśnie tamtego dnia. Po prostu podjęłyśmy decyzję i od razu wzięłyśmy się do roboty. Pierwsze zadanie polegało na przekonaniu rodziców, żeby w ogóle pozwolili nam jechać. Nie chodzi o to, że nam nie ufają, ale, jak powiedział tata, była to „dość śmiała prośba”. Nie mówili nie, po prostu bardzo długo podsuwali nam inne pomysły. Chyba większość rodziców postępuje w ten sposób.

Nie chcą wszczynać kłótni, więc proponują inne rozwiązania, na które mogliby się zgodzić, i mają nadzieję, że my też się zgodzimy. „Może zamiast tego pojedziecie nad rzekę?”, „Może zamiast chłopców weźmiecie Robyn i Meriam?”, „Może po prostu pojedziecie rowerami? Albo nawet konno? Urządźcie sobie prawdziwy biwak w starym stylu. Będzie fajna zabawa”.

Wyobrażenie mamy na temat fajnej zabawy sprowadza się do robienia dżemu na konkurs przetworów towarzyszący festynowi w Wirrawee, więc trudno ją było uznać za autorytet w tych sprawach. Trochę dziwnie się czuję, pisząc takie rzeczy – jeśli wziąć pod uwagę to, przez co wszyscy przeszliśmy – ale postawiłam na uczciwość i nie będę się rozklejać.

W końcu doszliśmy do porozumienia i w zasadzie wyszło całkiem niezłe. Mogłyśmy wziąć land-rovera, z tym że tylko mnie wolno go było prowadzić, mimo że Kevin miał prawo jazdy, a ja nie. Ale tata wie, że jestem dobrym kierowcą. Mogłyśmy pojechać aż na szczyt Szwu Krawca. Mogłyśmy zaprosić chłopców, ale musiało być więcej osób: co najmniej sześć, ale nie więcej niż osiem. To dlatego, że według mamy i taty w większej grupie istnieje mniejsze ryzyko orgii. Nie żeby podali taki właśnie powód – twierdzili, że chodzi o bezpieczeństwo – ale za dobrze ich znam.

Tak, starannie napisałam ostatnie słowo – „znam” – bo nie chciałam, żeby ktoś je pomylił ze „znałam”.

Musiałyśmy obiecać, że nie zabierzemy żadnego alkoholu ani papierosów i że chłopcy też ich nie wezmą. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego dorośli robią z dorastania taki skomplikowany proces. Oczekują, że będziesz nieustannie szukać okazji do różnych wyskoków. Czasami nawet podsuwają ci pomysły. Nie wydaje mi się, żeby w ogóle przyszło nam do głowy zabrać alkohol i fajki. Przede wszystkim to zbyt droga impreza, a po Bożym Narodzeniu wszyscy byliśmy sflukani. Ale najzabawniejsze jest to, że kiedy rodzice podejrzewali nas o jakieś grzeszki, zawsze byliśmy

grzeczni, a kiedy myśleli, że jesteśmy niewinni, zazwyczaj coś knuliśmy. Na przykład nigdy nie mieli nic przeciwko próbom szkolnego teatryku, a ja wszystkie te próby spędzałam ze Steve'em, pochłonięta rozpinaniem guzików i pasków, a potem ich gorączkowym zapinaniem, kiedy pan Kassar zaczynał krzyżeć: „Steve! Ellie! Oni znów to samo? Niech mi ktoś przyniesie łom!”.

Bardzo zabawny człowiek z tego pana Kassara.

W końcu na liście znalazło się osiem osób, łącznie z nami dwiema. Nie pytałyśmy Elliota, bo jest zbyt leniwy, ani Meriam, która była pochłonięta zbieraniem doświadczenia zawodowego pod okiem rodziców Fi. Pięć minut po zrobieniu listy jeden z chłopaków, Chris Lang, wpadł do mnie ze swoim tatą. Więc od razu pytałyśmy, czy się z nami wybierze. Pan Lang to wielki facet, który zawsze nosi krawat, bez względu na to, gdzie jest i co robi. Sprawia wrażenie dość trudnego i poważnego człowieka. Chris mówi, że jego ojciec urodził się na rogu Porządnej i Przykładnej, co wszystko wyjaśnia. Kiedy jego tata jest w pobliżu, Chris prawie się nie odzywa. Ale zapytałyśmy ich obu, gdy siedzieli przy naszym kuchennym stole i obżerali się babeczkami mojej mamy. Od razu zaliczyłyśmy porażkę. Okazało się, że państwo Lang wyjeżdżają za granicę i chociaż zatrudniali pracownika, Chris musiał zostać w domu, żeby mieć wszystko na oku. To był kiepski początek urzeczywistniania naszych planów.

Ale następnego dnia wsiadłam na rower i pojechałam przez pola do domu Homera. Normalnie pojechałabym drogą, ale mama przejmowała się nowym gliniarzem, który spisywał każdego, kto się ruszał. W pierwszym tygodniu służby wlepił mandat żonie sędziego pokoju, która nie zapięła pasów. Wszyscy uważali, żeby nie wejść facetowi w drogę.

Znalazłam Homera nad strumieniem, gdzie testował zawór, który przed chwilą wyczyścił. Kiedy przyjechałam, trzymał go w górze i z optymizmem sprawdzał, czy już nie przecieka.

– Popatrz – powiedział, kiedy zsiadłam z yamaha. – Idealna szczelność.

– Co było nie tak?

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że trzy minuty temu przepuszczał wodę, a teraz już nie. Jak dla mnie to wystarczy.

Podniosłam rurę i przytrzymałam, żeby mógł z powrotem przykręcić zawór.

– Nie cierpię pomp – dodał. – Kiedy papcio wykituje, na każdym polu wykopię sztuczne jezioro.

– Super. Będziesz mógł zatrudnić moją firmę do robót ziemnych.

– To twój najnowszy pomysł? – Pomacał mój prawy biceps. – Jak tak dalej pójdzie, będziesz mogła kopać jeziora łopata.

Spróbowałam go wepchnąć do wody, ale był za silny. Patrzyłam, jak napuszcza wodę do wiader, a potem pomogłam mu je przenieść, żeby dokończyć zalewanie pompy. Po drodze przedstawiłam nasze plany.

– No jasne, piszę się – powiedział. – Wprawdzie wolałbym, żebyśmy pojechali do jakiegoś tropikalnego kurortu i popijali koktajle z parasoleczkami, ale póki co zadowolę się biwakiem.

Poszliśmy do niego na lunch, a potem poprosiliśmy jego rodziców o pozwolenie.

– Jedziemy z Ellie na parę dni do lasu – oznajmił Homer.

To był jego sposób na pytanie o pozwolenie. Jego matka w ogóle nie zareagowała, a ojciec tylko uniósł brew nad kubkiem z kawą. Za to George, brat Homera, zasypał nas gradem pytań. Kiedy podałam termin, powiedział:

– A co z festynem?

– Nie możemy jechać wcześniej – odparłam. – Państwo Mackenzie strzygą owce.

– Jasne, ale kto przygotowuje byki na wystawę?

– Jesteś mistrzem suszarki – powiedział Homer. – Widziałem, jak sterczysz przed lustrem w sobotnie wieczory. Tylko pamiętaj,

żeby nie robić byków w stylu greckim, wystarczy nasmarować im sierść olejem. – Potem zwrócił się do mnie: – Papcio trzyma w szopie czterdziestoczwierogalonową beczkę oleju specjalnie dla George’a na jego sobotnie wypadu.

George nie sływał z poczucia humoru, więc spuściłam wzrok i wpakowałam do ust kolejną porcję tabbuli.

Zatem Homer jechał z nami. Wieczorem zadzwoniła Corrie i powiedziała, że Kevin też się przyłączy.

– Nie był zbyt chętny – powiedziała. – Pewnie wolałby się wybrać na festyn. Ale zrobi to ze względu na mnie.

– Jakie to romantyczne... zaraz puszcze pawia – prychnęłam. – Powiedz mu, że jeśli chce, może iść na festyn. Jest mnóstwo innych chłopaków, którzy z radością go zastąpią.

– Jasne, ale żaden z nich nie skończył jeszcze dwunastu lat – westchnęła Corrie. – Mali bracia Kevina marzą, żeby z nami pojechać. Tylko są za młodzi, nawet dla ciebie.

– A dla ciebie za starzy – odburknęłam.

Po rozmowie z Corrie zadzwoniłam do Fiony i przedstawiłam jej nasze plany.

– Chcesz się z nami wybrać? – zapytałam.

– Och! – wydawała się zaskoczona, jakbym organizowała tę wycieczkę specjalnie dla niej. – Jejku. Chcesz, żebym się z wami wybrała?

Nie zadałam sobie trudu, żeby odpowiedzieć na takie pytanie.

– Jejku. – Fi była jedyną znaną mi osobą przed sześćdziesiątką, która mówiła „jejku”. – Kto jeszcze jedzie?

– Ja i Corrie. Homer i Kevin. Poza tym chcemy zaprosić Robyn i Lee.

– W takim razie bardzo chętnie. Zaczekaj chwilę, pójde zapytać rodziców.

To było długie oczekiwanie. W końcu wróciła z całą serią pytań. Przekazywała moje odpowiedzi mamie albo tacie, albo im obojgu. Mniej więcej po dziesięciu minutach takiego przekazywania

rozpoczęła się następna długa rozmowa. Potem Fi znowu podniosła słuchawkę.

– Robią problemy – westchnęła. – Myślę, że się uda, ale moja mama chce zadzwonić do twojej, żeby się upewnić. *Sorry*.

– W porządku. Postawię przy tobie znak zapytania i pogadamy w weekend, dobra?

Odłożyłam słuchawkę. Coraz trudniej rozmawiało mi się przez telefon, bo w pokoju ryczał telewizor. Mama nastawiła go za głośno – żeby słyszeć wiadomości w kuchni. Ekran wypełniła czyjaś rozszłoszczona twarz. Przystanęłam i obejrzałam kawałek wiadomości.

– Nasz minister spraw zagranicznych to mięczak – krzyczała twarz. – Jest słaby i tchórzliwy, to nowy Neville Chamberlain. Nie rozumie ludzi, z którymi ma do czynienia. Oni szanują siłę, a nie słabość!

– Myśli pan, że rząd przywiązuje dużą wagę do obronności kraju? – zapytał dziennikarz.

– Dużą wagę? Dużą wagę? Chyba pan żartuje! Wie pan, jak okroili budżet na obronę?

Całe szczęście, że spędzę tydzień z dala od tego wszystkiego, pomyślałam.

Poszłam do gabinetu taty i zadzwoniłam do Lee. Minęło sporo czasu, zanim udało mi się wyjaśnić jego mamie, że chcę rozmawiać z jej synem. Jej angielszczyzna pozostawiała wiele do życzenia. Lee dziwnie się zachowywał, kiedy podszedł do telefonu, był wręcz podejrzliwy. Na wszystko, co mówiłam, reagował powoli, jakby analizował każde słowo.

– Mam grać koncert z okazji Dnia Pamięci – powiedział, kiedy podałam termin.

Nastąpiła cisza, którą w końcu przerwałam.

– No więc jak? Jedziesz z nami?

Wtedy się roześmiał.

– Zapowiada się lepsza zabawa niż na koncercie.

Kiedy powiedziałam, że chcę zaprosić Lee, Corrie się zdziwiła. W szkole w zasadzie się z nim nie zadawałyśmy. Sprawiał wrażenie poważnego gościa, bardzo pochłoniętego muzyką, ale mimo to uznałam, że jest interesujący. Nagle zdałam sobie sprawę, że niedługo skończymy szkołę, a nie chciałam jej opuszczać, nie poznawszy takich ludzi jak Lee. Mieliśmy w klasie osoby, które nie zdążyły jeszcze poznać imion niektórych uczniów! A przecież chodziliśmy do takiej małej szkoły. Niektórzy budzili we mnie ogromną ciekawość, a im bardziej się różnili od tych, z którymi się kumpłowałam, tym ciekawość była większa.

– No więc jak? – zapytałam.

Nastąpiła kolejna długa chwila milczenia. W ciszy czuję się niezręcznie, więc mówiłam dalej:

– Mam zapytać twoich rodziców?

– Nie, nie. Ja z nimi porozmawiam. Jasne, jadę z wami.

– Nie wydajesz się zachwycony.

– Hej, jestem zachwycony! Po prostu będę musiał pokonać kilka problemów. Ale plan brzmi super, jadę z wami. Co mam zabrać? Na końcu zadzwoniłam do Robyn.

– Och, Ellie – jęknęła – byłoby świetnie! Ale rodzice nigdy mi nie pozwolą.

– Daj spokój, Robyn, bądź twarda. Przyciśnij ich.

Westchnęła.

– Och, Ellie, nie znasz moich rodziców.

– Tak czy siak, zapytaj ich. Zaczekam.

– Dobra.

Kilka minut później rozległ się trzask podnoszonej słuchawki, więc zapytałam:

– No i? Urobiłaś ich?

Niestety, okazało się, że słuchawkę podniósł pan Mathers.

– Nie, Ellie, nie urobiła nas.

– O, pan Mathers! – Było mi głupio, ale i wesoło, bo wiedziałam, że owinę sobie pana Mathersa wokół palca.

- No więc o co chodzi z tym biwakiem, Ellie?
- Pomyśleliśmy, że najwyższa pora wykazać się niezależnością, inicjatywą i innymi fajnymi cechami. Chcemy kilka dni połączyć po lesie wzdłuż Szwu Krawca. Uciec od wyuzdania i grzechów Wirrawee do czystego i zdrowego górskiego powietrza.
- Hmm. Bez dorosłych?
- Och, panie Mathers, serdecznie pana zapraszamy, pod warunkiem że nie ukończył pan trzydziestu lat.
- To dyskryminacja, Ellie.
- Żartowaliśmy sobie z pięć minut, a później pan Mathers spoważniał.
- Widzisz, Ellie, po prostu uważamy, że jesteście trochę zbyt młodzi na samotne jeżdżenie po lesie.
- Panie Mathers, co pan robił, kiedy był pan w naszym wieku? Roześmiał się.
- Dobra, punkt dla ciebie. Pracowałem przy owcach w Callamatta Downs. To było, jeszcze zanim zostałem mądralą w koszuli i krawacie. – Pan Mathers był agentem ubezpieczeniowym.
- Nasz wypad to nic w porównaniu z pracą przy owcach w Callamatta Downs!
- Hmm.
- Zresztą co złego może nas tam spotkać? Myśliwi w terenówkach? Musieliby przejechać przez nasze gospodarstwo, a tata by ich nie przepuścił. Pożar? Jest tam tyle skał, że będziemy bezpieczniejsi niż w domu. Węże? Każde z nas wie, co robić w razie ukąszenia. Nie zgubimy się, bo Szew Krawca jest jak autostrada. Łaziłam po tamtych terenach, odkąd nauczyłam się chodzić.
- Hmm.
- A może wykupimy u pana polisę? Czy wtedy by się pan zgodził? Umowa stoi?
- Robyn zadzwoniła następnego dnia wieczorem i powiedziała, że umowa stoi, nawet bez polisy. Była ucieszona i nie mogła się doczekać. Miała za sobą długą rozmowę z rodzicami – powiedziała,

że jeszcze nigdy tak dobrze im się nie gadało. Po raz pierwszy pozwolili jej na taką wyprawę, więc bardzo jej zależało, żeby wyjazd wypalił.

– Och, Ellie, mam nadzieję, że nie będzie żadnych wpadek – powtarzała.

Najzabawniejsze było to, że jeśli istnieją rodzice, którzy mają córkę godną pełnego zaufania, są nimi właśnie państwo Mathers, ale oni najwyraźniej jeszcze tego nie zauważyli. Największym problemem, jaki kiedykolwiek mogła im sprawić, było chyba spóźnienie się do kościoła. A i to pewnie dlatego, że pomagała jakiemuś skautowi przejść na drugą stronę ulicy.

Sprawa wyglądała całkiem niezłe. W sobotę rano pojechałam z mamą na zakupy i spotkałyśmy Fi z jej mamą. Dwie mamy odbyły długą poważną rozmowę, a ja i Fi gapiliśmy się przez okno sklepu ogrodniczego i próbowałyśmy coś podsłuchać. Mama skupiła się na zapewnieniach. „To bardzo rozsądne dzieci – usłyszałam. – Bardzo rozsądne”. Na szczęście nie wspomniała o ostatnim popisie Homera: niedawno przyłapano go na tym, że wylewał w poprzek drogi strużkę rozpuszczalnika, a kiedy zbliżał się jakiś samochód, podpalał ją, przycupnięty w swojej kryjówce. Zanim go nakryto, zrobił ten numer sześć razy. Nie wyobrażam sobie szoku, jakiego doznawali kierowcy tych samochodów.

Tak czy siak, cokolwiek mama powiedziała mamie Fi, jej słowa okazały się skuteczne i ostatecznie mogłam skreślić znak zapytania przy nazwisku Fi. Nasza lista skurczyła się do siedmiu osób, ale wszystkie były zdecydowane, a my cieszyłyśmy się z ich towarzysstwa. Właściwie cieszyłyśmy się z tego, że jedziemy my dwie, a pozostała piątka była dobrym dodatkiem. Spróbuję opisać ich takimi, jacy wtedy byli – albo jacy mi się wydawali, bo oczywiście od tamtego czasu trochę się zmienili, podobnie jak mój stosunek do nich.

Na przykład zawsze uważałam Robyn za osobę dość cichą i poważną. Co roku dostawała świadectwo z wyróżnieniem i była

bardzo wierząca, ale wiedziałam, że ma w sobie coś jeszcze. Lubiła wygrywać. Było to widać na boisku. Grałyśmy w jednej drużynie netballu i szczerze mówiąc, niektóre jej zachowania wprawiały mnie w zakłopotanie. Na przykład jej determinacja. Kiedy zaczynał się mecz, Robyn przeobrażała się w rozpędzony helikopter: atakowała i pędziła po boisku, taranując wszystkich po drodze, jakby to było konieczne. Jeśli trafił się słaby sędzia, Robyn potrafiła narobić w ciągu jednego meczu tyle samo szkód co śmigłowiec bojowy. Ale kiedy gra dobiegała końca, spokojnie ścisnęła przeciwnikom dłonie, dziękowała im za „dobry mecz” i wracała do swojego normalnego Ja. Dziwne. Robyn jest drobna, ale silna, umięśniona i świetnie utrzymuje równowagę. Bez wysiłku śmiga po boisku, po którym reszta z nas wlecze się jak w błocie.

Powinam jednak wykluczyć z tej reszty Fi, która też jest lekka i pełna wdzięku. Fi zawsze była dla mnie kimś w rodzaju bohaterki, kimś, kto wydawał mi się zasługującym na podziw ideałem. Kiedy zrobiła coś złego, mówiłam: „Fi! Nie rób tego! Jesteś moim wzorem!”. Uwielbiam jej piękną gładką skórę. Ma to, co moja mama nazywa „delikatnymi rysami twarzy”. Wygląda tak, jakby nigdy w życiu nie zaznała ciężkiej pracy, jakby nigdy się nie opalała i nie ubrudziła sobie rąk – co zresztą było prawdą, bo w przeciwieństwie do nas, wieśniaków, mieszkała w mieście i zamiast kąpać owce albo znakować jagnięta, grała na pianinie. Jej rodzice są prawnikami.

Za to Kevin to typowy mieszkaniec wsi. Jest od nas starszy, ale to chłopak Corrie, więc musiał z nami jechać, bo w przeciwnym razie moja przyjaciółka od razu straciłaby zainteresowanie wyprawą.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważało się u Kevina, były jego strasznie szerokie usta. Drugą wielkość rąk. Były ogromne jak kielnie. Kevin słynął z wybujałego ego i lubił być podziwiany, w związku z czym często działał mi na nerwy, ale mimo to uważałam go za najlepszą rzecz, jaka przydarzyła się Corrie, bo zanim moja

przyjaciółka zaczęła z nim chodzić, była zbyt cicha i nikt nie zwracał na nią uwagi. Często ze sobą rozmawiali w szkole, a potem zaczęła mi mówić, jaki to z niego wrażliwy i troskliwy facet. Choć osobiście nie byłam w stanie tego dostrzec, widziałam, że dzięki niemu zaczęła nabierać pewności siebie, i to mi się spodobało.

Zawsze wyobrażałam sobie Kevina za dwadzieścia lat jako przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Festynu Wirrawee, który w soboty grywa w krykieta w klubie, nawija o wysokich cenach jagnięciny i wychowuje trójkę dzieci – być może z Corrie. Właśnie do takiego świata byliśmy przyzwyczajeni. Tak naprawdę nigdy nie przypuszczaliśmy, że cokolwiek mogłoby się zmienić.

Lee mieszkał w mieście, podobnie jak Fi. „Lee i Fi z Wirrawee” – śpiewaliśmy. Na tym jednak kończyły się ich wspólne cechy. Lee był tak śniady, jak Fi blada. Miał czarne krótko przystrzyżone włosy, ciemnobrązowe inteligentne oczy i przyjemny miękki głos przycinający końcówki niektórych wyrazów. Jego ojciec był Tajlandczykiem, a matka Wietnamką. Prowadzili orientálną restaurację. I to całkiem dobrą. Często tam chodziliśmy. Lee był świetny z muzyki i sztuki. W zasadzie w ogóle świetnie sobie radził, ale potrafił być bardzo wkurzający, kiedy coś nie szło po jego myśli. Zamykał się wtedy w sobie i nie odzywał do nikogo przez wiele dni.

I wreszcie Homer, mój sąsiad. Homer był szalony, lubił szokować. Nie obchodziło go, co pomyślą ludzie. Nigdy nie zapomniałem, jak pewnego razu, jeszcze jako dziecko, wpadłam do niego na lunch. Pani Yannis próbowała zmusić Homera do zjedzenia brukselki. Ostro się pokłócili i na koniec Homer rzucił tą brukselką w swoją mamę. Jedna trafiła ją w czoło, i to dosyć mocno. Zamurowało mnie. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Gdybym spróbowała tego w domu, przykuliby mnie do traktora i przeciągnęli po polu. W ósmej klasie Homer codziennie namawiał co bardziej stukniętych kumpli na grę zwaną grecką ruletką. Polegała ona na tym, że w porze lunchu szukało się pomieszczenia

oddalonego od wzroku nauczycieli, a potem po kolei waliło się głową w szybę w oknie. Gracze robili to, póki nie rozległ się dzwonek albo nie pękła szyba – w zależności od tego, co nastąpiło wcześniej. Jeśli to twoja głowa stłukła szybę, musiałeś zapłacić za nową (ty albo twoi rodzice). Grając w grecką ruletkę, zbito wiele okien, zanim nauczyciele w końcu się połapali, o co chodzi.

Homer zawsze pakował się w kłopoty. Następną z jego ulubionych rozrywek było obserwowanie robotników, którzy wchodzili na dach szkoły, żeby zatkać dziury, zdjąć zabłąkane piłki albo wymienić rynny. Homer czekał, aż bezpiecznie dotrą na górę i skupią się na pracy, i wtedy przypuszczał atak. Pół godziny później na dachu rozlegały się wrzaski i wołanie: „Pomocy! Ściągnijcie nas stąd! Niech to szlag, jakiś pacan buchnął nam drabinę!”

W dzieciństwie Homer był dość niski, ale w ciągu kilku ostatnich lat nadrobił zaległości i sporo podrosł, stając się jednym z najwyższych koleś w szkole. Inni ciągle go namawiali na grę w nogę, ale on nie znosił większości dyscyplin sportowych i za nic nie chciał kopać piłki. Lubił polować i często dzwonił do moich rodziców, pytając, czy może do nas wpaść razem z bratem i ustrzelić kilka królików. Poza tym lubił pływać. I słuchać muzyki – czasami dosyć dziwnej.

Kiedy byliśmy mali, spędzałam z Homerem każdą wolną chwilę i nadal jesteście sobie bliscy.

Właśnie tak wyglądała Słynna Piątka. Razem ze mną i z Corrie miałyśmy Tajemniczą Siódemkę. Ha! Powieści Enid Mary Blyton mają jednak niewielki związek z tym, co nas spotkało. Nie przychodzi mi do głowy żadna książka, która byłaby w stanie opisać nasze losy. Ani żaden film. W ciągu kilku ostatnich tygodni każdy z nas musiał na nowo napisać scenariusz własnego życia. Dużo się nauczyliśmy i musieliśmy zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi i co się liczy – co się liczy naprawdę. Nie było lekko.